

## **Paweł Hertz: Polskość jako wspólnota otwarta**

Każdy, kto wchodzi w krąg polskości, musi mieć świadomość, że tutaj wszystko zaczęło się od chrztu. Od chrztu katolickiego, bo tylko taki wtedy był. Tu wszystko zaczyna się od świętego Wojciecha; język, literatura, kultura, stosunki między ludźmi — wszystko jest przez chrześcijaństwo formowane. Jest lekkomyślnością atakowanie swego najistotniejszego dziedzictwa. — pisał Paweł Hertz. Jego esej poświęcony rozumieniu polskości publikujemy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Paweł Hertz, Ogrodnik kultury”.

—W moim przekonaniu „polszczyzna”, czyli polskość, tak jak ją rozumiano i określano w okresach największych wzlotów umysłowości polskiej, była zaproszeniem dla wszystkich, otwarciem wspólnego domu. Wynikało to zapewne przede wszystkim z tradycji Pierwszej Rzeczypospolitej, która — jakkolwiek organizowana przez Polaków — obejmowała ogromne obszary bardzo zróżnicowane narodowościowo, językowo, kulturowo i wyznaniowo. Polacy w tym państwie niewątpliwie dominowali, ale nie zaznaczali swojej dominacji w sposób nazbyt jaskrawy, co w jakimś stopniu wyróżnia Pierwszą Rzeczypospolitą spośród innych podobnych formacji historycznych. W tak umiejscowionym historycznie pojęciu polskości dopatruję się przede wszystkim takich elementów jak: zacność i poczciwość, czyli stan ducha umysłu otwartego na to, co rozstrzyga, że człowiek — nie tylko Polak — kieruje się poczuciem godności, czci i sumienia. W tym rozumieniu, tak jak to można wyraźnie znaleźć u Mickiewicza, polskość

jest właściwie szczodłą ofiarą, zaproszeniem do wspólnoty, rzeczą powszechną, czyli katolicką, w pierwotnym greckim znaczeniu wyrazu „katolicki” (powszechny).

Nie jest to jednak jedyny sposób przejawiania się polskości. Okoliczności historyczne (rozpad Rzeczypospolitej, groźba wynarodowienia) spowodowały, że polskość otwarta, owa „polszczyzna”, stawała się – wraz z narastającym zagrożeniem – polskością obronną, skupioną na obronie swojej tożsamości. Coraz częstsze stało się określanie polskości jako plemienności. Jest to zresztą wymiar istniejący we wszystkich tradycjach. Wystarczy wziąć do ręki Stary Testament. Wszystkie narody powstawały z czegoś pierwotnego, plemiennego, obronnego, zamkniętego. I dopiero potem, rozrastając się, traciły te cechy obronne i zaczynały promieniować na zewnątrz. Natomiast w polskim przypadku delikatność, czy nawet drażliwość pojęcia plemienności, polegała na ujawniającej się stopniowo jego dwuznaczności. Nie tylko bowiem oznaczając coś mianem plemienności włączano ludzi i ich dzieła w krąg kultury narodowej, lecz także, z upływem czasu coraz częściej, posługując się kryterium plemienności czy rdzenności, dokonywano eliminacji, wyłączenia. Tym sposobem polskość, rozumiana jako jeden z czynników stanowiących o równouprawnionej obecności w dziejach i kulturze Europy, owa polskość otwarta, szczodrobliva, powszechna, czyli katolicka, wchodziła w coraz ostrzejszy spór z polskością pojmowaną jako odrębność, swoistość, plemienność.

Trzeba jednak powiedzieć sobie wprost i otwarcie, że im bardziej w drugiej połowie XIX stulecia, z pośpiechem godnym lepszej sprawy, odrzucano, a nawet atakowano wszelką myśl o polskiej rdzenności i swoistości na rzecz utopii uniwersalnych, zapominając przy tym, że na-

rody pozbawione suwerenności nie mogą pozbawiać się pamięci o własnych początkach, tym bardziej — na zasadzie reakcji — po drugiej stronie podbijano bębenka uczuć pseudopatriotycznych, rozumianych jako zwolnienie od konieczności przemyślenia problemu narodowej tożsamości. Do tego właśnie sporu odwoływał się Wyspiański, każąc w Wyzwoleniu mówić Konradowi, że nieznośne jest manifestowanie polskości bez określania, jaka to ma być polskość. Ta otwarta, promieniująca, narodowa, czy ta ograniczająca, plemienna, pierwotna, która nie dorasta do stadium promieniującego na zewnątrz narodu i oznacza regres.

*Każdy, kto wchodzi w krąg  
polskości, musi mieć  
świadomość, że tutaj wszystko  
zaczęło się od chrztu*

Ale powtarzam  
zawsze, co pewnie  
niektórzy będą mieli  
mi za złe, że należy  
bronić także tego  
pierwotnego pojęcia  
polskości jako

plemienności. Nie chcę powiedzieć, że jestem lepszym Polakiem od Konrada, nie mam w dodatku z polskością związków rdzennych czy plemiennych i pojmuję ją właśnie jako rzecz pospolitą, powszechną, europejską. Nie mogę jednak zapomnieć, że owo węższe, wyodrębniające poczucie polskości, które od stu z górą lat jest przedmiotem niechęci jednych, uznania zaś drugich, należałoby traktować z większym obiektywizmem. Powinienem pamiętać, że u początków kształtowania się tysiącletniej historii narodu, w której mój i moich przodków udział jest znacznie krótszy, było właśnie owo plemię, bez którego zalet i wad nie powstałby naród. Bez tego, ci, do których nie stosuje się węższa definicja polskości, nie mogliby w stosownym czasie mieć swojego udziału w polskości otwartej i powszechnej. Nie mogliby jej zatem współtworzyć.

Powróćmy jednak do naszego podstawowego pytania. Dlaczego tak wielu intelektualistów odnosi się z podejrzliwością do terminu „polskość” i dlaczego używanie takiej terminologii dla bardzo wielu ludzi w Polsce, zwłaszcza dla ludzi działających poprzez środki przekazu, jest jak gdyby kompromitujące, pomniejszające? Dzieje się tak właśnie dlatego, że nie rozumiejąc historii kształtowania się tego pojęcia, nie rozumiejąc, że plemienność i narodowość wynikają z siebie wzajemnie, nie pojmując, iż bycie Polakiem, przyznawanie się do polskości, nie oznacza zamykania się na inne tradycje i na inne narody. Jeżeli mówię, że jestem w narodzie, że należę do wspólnoty narodowej, to znaczy także, że ten naród ma swoje prawa i swoje obowiązki, tak samo jak każdy inny naród na obszarze tego kontynentu. Europa jest zamieszkała przez narody i żadne, najbardziej liberalne koncepcje gospodarcze, nie powinny, a jeśli są naprawdę liberalne, nie chcą tego zmieniać. Można znieść granicę celną pomiędzy Niemcami i Francją, nie można znieść granicy między Niemcem i Francuzem, ponieważ jeden będzie czytał jako pierwszą, najbliższą lekturę Goethego, a drugi Balzaka, Stendhala czy Baudelaire’a. Nie znaczy to, że nie będą szanować, a nawet podziwiać innych pisarzy, ale podstawą istnienia każdej ukształtowanej społeczności jest jej odrębny język, kultura i plemienne początki.

Odrzucanie tych prawd przez część polskich intelektualistów wynika prawdopodobnie z ich nietolerancji, z niechęci do rozmaitych cech, które uznają za nienowoczesne, nie mające prawa obywatelstwa we współczesnym świecie. Jest to także produkt pewnego kompleksu i spowodowanego nim snobizmu kulturowego, który kwitnie zresztą w Polsce nie od dzisiaj, bo to jest również fenomen dwudziestolecia międzywojennego, a i wcześniej takie postawy w kulturze polskiej były obecne. Wyobrażanie sobie, że stanę się Europejczykiem, kiedy wyzbędę się swojskości, narodowej odrębności, nigdy nie przyszłoby do

głowy Francuzowi, Anglikowi czy Niemcowi. Norwid napisał, że nie można kultury do narodu „przywieźć koleją żelazną”, że kultura musi tworzyć się z głębi narodu. To się odnosi także do owej kultury europejskiej traktowanej czasami jako coś innego, lepszego od sumy kultur narodowych. Kultury europejskiej, którą by trzeba po Europie rozwieźć „koleją żelazną”. Nie ma myślenia bez języka. Każdego Polaka, Niemca, Żyda, Greka określa język, w jakim myśli. A ten język jest naturalnie dziedziczony od pokoleń. Niedostrzeżenie tego jest pewnego rodzaju pogardą wobec historii.

Przy tym należy dodać, że w żadnej społeczności narodowej nie da się oddzielić tego, co wzniosłe, od tego, co przaśne, tego, co stanowi ojej otwartości, od jej wymiaru plemiennego. Formacja narodowa nigdy nie jest monolitem. Są w niej najrozmaitsze warstwy i jest współżycie między nimi; solidarne współżycie występujące zwłaszcza w momentach zagrożenia. Zjawiska, które w Polsce określa się jako przaśne, plemienne, pewnego rodzaju szowinizm, to wszystko znajdzie się również u Niemców i Francuzów. Chyba, że nie wyjeżdża się poza Paryż i poza uniwersytety amerykańskie.

Przy okazji dystansowania się od pojęcia polskości bardzo często atakowany jest inny fundament społecznej tożsamości — Kościół. Kontestacja Kościoła płynie przede wszystkim ze środków masowego przekazu i od ludzi, którzy są przedstawicielami jednej, dość wąskiej zresztą, warstwy inteligencji humanistycznej. Nie ma zasadniczo aktywnej kontestacji roli Kościoła w Polsce ze strony wsi, środowisk robotniczych, inteligencji zawodowej, czy tego, co można by już nazwać początkiem klasy mieszczańskiej. Myślę wobec tego, że mówienie o

jakimś zagrożeniu, kryzysie, jest dosyć przesadzone. Kościół przecież nie jest w Polsce ani tak słabą, ani tak mniejszościową instytucją, żeby trzeba się było takimi atakami zbytnio przejmować.

Istotne jest jednak rozważenie tego zjawiska na płaszczyźnie światopoglądowej, cywilizacyjnej. Niechęć do Kościoła, rozumiana głębiej, może być pochodną trwającego w całej Europie, od czasów oświecenia, procesu sekularyzacji kultury, zakwestionowania judeochrześcijańskiej tradycji postrzegania wzajemnego stosunku Boga i człowieka. Jesteśmy coraz bardziej skłonni widzieć w człowieku jedyne stwórcę i prawodawcę otaczającego nas świata. Boga usuwamy na margines. Łaskawie pozostawiono Mu w czasie rewolucji francuskiej miano najwyższej istoty, ale cała historia człowieka jako Syna Bożego, opowiedziana w obu Testamentach, została odrzucona.

Wszystkie straszne rzeczy, które wydarzyły się w Europie po rewolucji francuskiej wynikały właśnie z odrzucenia idei Boga. Myślę, że hitleryzm był tak okrutny nie dlatego, że Niemcy chcieli — jako naród — podbić świat, ale dlatego, że jego głównym celem było całkowite opanowanie ludzkich umysłów i dusz, a zatem wykorzenienie idei Boga i zaprowadzenie w to miejsce neopogaństwa. To samo rozpoznanie obowiązuje w stosunku do komunizmu. W obu przypadkach na drodze do zdobycia totalnej kontroli nad człowiekiem stała idea Boga. Posunąłbym się jeszcze dalej i powiedział, że cała sprawa żydowska polegała — w ujęciu hitlerowskim — na pragnieniu likwidacji narodu, który jest w Biblii narodem wybranym, i któremu Bóg nigdy tego wybraństwa nie cofnął. Stąd jednoczesna próba likwidacji narodu i likwidacji Starego i Nowego Testamentu. Zatem, o ile w rządzeniu państwem, w administrowaniu państwem, należy unikać faworyzowania jakiegoś

stanowiska wyznaniowego, to trzeba sobie powiedzieć, że kultura bez Boga jest martwa, a filozofia po odrzuceniu idei Boga może usprawiedliwiać, lecz nie może zapobiec wynaturzeniu idei człowieka.

Ze sprawą dechrystianizacji Europy łączony jest zwykle problem zachowania tożsamości narodowej. Wojciech Wasiutyński napisał niedawno: „Polsce zagraża fundamentalne niebezpieczeństwo związane z idącą przez świat falą dechrystianizacji. Nie idzie tu o walkę z organizacją kościelną ani z dogmatami religijnymi, ale z całym etosem chrześcijańskim, z całą tradycją i urobioną wiekami moralnością. (...) To, co dla narodów zachodnioeuropejskich może być przejściową chorobą, w Polsce mogłoby się okazać śmiercią kultury narodowej, końcem odrębnego bytu. Fizycznie Polacy istnieliby nadal i mówili po polsku (...), ale straciliby żywą łączność z własną przeszłością. Obserwując postępy faktycznej dekatolicyzacji Polski w ostatnich latach, to niebezpieczeństwo trzeba poważnie brać pod uwagę”. Otóż nie zgadzam się z opinią, że Polak niewierzący przestaje być Polakiem. Niewierzący Polak ma te same źródła wiedzy o Polsce, co Polak wierzący. Nie potrafiłbym powiedzieć, że profesor Kotarbiński nie był dobrym Polakiem, czy też w ogóle nie był Polakiem. Oczywiście, że był Polakiem, nawet bardzo typowo wyglądał. Zachowywał się także jak polski szlachcic. Był jednak człowiekiem programowo niewierzącym. Dla mnie zatem rzecz przedstawia się następująco. Kultura polska, jak każda europejska kultura narodowa, ma źródła chrześcijańskie. Jak powiedział Krasiński — chrześcijaństwo jest źródłem narodów, źródłem tego rodzaju wolności, dzięki której tworzyć się mogą formacje narodowe. Bez niego byłyby tylko jakieś olbrzymie masy rządzone przez satrapów, tyranów, cesarów. I tak jak nie ma narodu polskiego bez chrześcijaństwa, tak reszta jest jednak sprawą sumienia poszczególnych członków tego narodu. Jeśli zachowujemy się w sposób intelektualnie uczciwy, musimy przyznać, że polska tradycja narodowa

jest produktem działania społeczności, która kierowała się nauką Kościoła rzymskokatolickiego. I tylko tyle. A jak to traktujemy, czy wyłącznie jako fakt społeczny, czy też przyjmujemy to z uwzględnieniem całej sfery nadprzyrodzonej, transcendentalnej, to już jest sprawą naszego sumienia.

*Wszystkie straszne rzeczy,  
które wydarzyły się w Europie  
po rewolucji francuskiej  
wynikały właśnie z odrzucenia  
idei Boga*

Każdy, kto wchodzi  
w krąg polskości,  
musi mieć  
świadomość, że tutaj  
wszystko zaczęło się  
od chrztu. Od chrztu  
katolickiego, bo  
tylko taki wtedy był.

Tu wszystko zaczyna się od świętego Wojciecha; język, literatura, kultura, stosunki między ludźmi — wszystko jest przez chrześcijaństwo formowane. Jest lekkomyślnością atakowanie swego najistotniejszego dziedzictwa. Być może wielu ludzi nie bardzo sobie z tego zdaje sprawę. Inteligent postępowy w ogóle nie lubi prowadzić takich rozmów. Jemu się wtedy wydaje, że schodzi na pozycję prymitywnej dewotki, bigotki, a strasznie się tego boi. Bo oczywiście dwieście lat odwrócenia się od koncepcji świata i człowieka jako twórców Bożych ugruntowało bardzo mocno ten wstyd. Wstyd, żeby broń Boże o tym nie rozmawiać, a jak już ktoś mówi, to żeby go gwałtownie atakować, bo on mnie chce sprowadzić w mroki średniowiecza. Myślę, że tutaj jest źródło historycznych zachowań części naszej inteligencji i źródło kryzysu obrazu polskiego katolicyzmu prezentowanego w mediach. Ponieważ nasza inteligencja, szczególnie jej część nazywająca siebie postępową, jest w gruncie rzeczy szalenie zacofana. Ona dopiero oswaja się z dziedzictwem oświecenia, które na zachodzie Europy zostało już w pewien sposób przetrawione i uporządkowane. No i jeszcze ten wstyd

inteligenta nuworysza, wstyd wobec zachowań ludowych. Kiedyś, w rozmowie z Andrzejem Micewskim poświęconej katolicyzmowi ludowemu i katolicyzmowi intelektualnemu w typie Maritaina, powiedziałem, że nie widzę żadnej sprzeczności pomiędzy czytaniem Maritaina i klękaniem na ulicy, wraz z innymi ludźmi, kiedy przechodzi procesja. Nie widzę żadnej degradacji dla człowieka czytającego Maritaina w tym, że on razem z ludźmi, na wiejskiej drodze czy na ulicy w mieście, uklęknie. Co więcej, przypuszczam, że intelektualista, który dostrzega w tym jakąś degradację, Maritaina nigdy w życiu nie przeczytał albo go nie zrozumiał.

I na koniec chciałbym wspomnieć o istotnym wymiarze kryzysu polskości, jakim jest mentalność obłąconej twierdzy, bardzo powszechna wśród ludzi, którzy się z polskością, z tradycją narodową, w jakiś sposób utożsamiają. Jarosław Marek Rymkiewicz stwierdził ostatnio, w bardzo ważnym i głośnym już wystąpieniu, że ostateczne pytanie, jakie z dramatyczną wyrazistością przed nim ostatnio stanęło, brzmi: czy Polacy pozwolą się przerobić na jakiś inny naród, czy też potrafią obronić swoją swoistość, swój styl życia. Myślę, że te słowa podsunęła Rymkiewiczowi gorycz i poczucie, że znalazł się w swoim środowisku intelektualnym w mniejszości. Bo tak istotnie jest. Zbuntował się zresztą nie tylko on. Dzięki takim buntom to środowisko ulega w tej chwili pewnej, może jeszcze nie polaryzacji, ale przynajmniej zróżnicowaniu; przestaje być monolitem. Pluralizm sięgnął również elity intelektualnej.

Rozumiejąc zatem przyczynę tak ostrego sformułowania przez Rymkiewicza problemu polskości, myślę, że niebezpieczeństwo, o którym mówi, nam nie zagraża. Niemożliwe jest bowiem, by jakiś naród przestał być narodem. Przeciwnie, są przykłady rozkwitu tendencji

narodowych wszędzie tam, gdzie jeszcze pięćdziesiąt lat temu nie było o tym mowy. Mamy Basków, Walonów, Flamandów, pojawił się problem narodów i państw narodowych dawnego imperium rosyjskiego, problem narodów i państw narodowych islamu. Myślę, że Polacy są mniej niż jakikolwiek z narodów europejskich skłonni przestać być narodem. Są niesłychanie samoistni, niezwykle szczegółni, bardzo niepodatni na to, żeby ich zniemczyć, zruszczyć. To właśnie Polacy przez dwieście lat polonizowali Niemców, austriackich urzędników, Żydów, Ukraińców, Białorusinów, nie dysponując żadną siłą polityczną, nie mając, słabego nawet, państwa. Natomiast nie jest wykluczone, że dystansując się od własnej przeszłości, wynarodowi się pewną część intelektualistów, ale to jest ich zmartwienie.

*Paweł Hertz*